

Z HARTSMANDSDORF DO GABLONZ

W miesiącu lutym 1944 roku rozpoczęła się ewakuacja więźniów Komanda Hartsmandsdorf. Pierwszym transportem ciągnąc na zmianę wozy z dobytkiem załogi esesmańskiej wyruszył transport na zachód. Kilka dni trwał ten marsz śmierci, gdyż słabszych więźniów dobijano w drodze. Więźniów transportowano w kierunku Buchenwaldu. W Zittau oddzielono grupę 30 więźniów-fachowców i skierowano w kierunku Komanda Gablonz. W tej grupie był również Eugeniusz Ruszkowski, który tak opisuje dalsze swoje losy.

Zdziesiątkowani, dotarliśmy do przedmieść Zittau. Miasto płonęło, na noc ulokowano nas w jakiejś rozbitej hali fabrycznej, a rano ogłoszono, że będą wybierać primadraherów /najlepszych tokarzy/ do fabryki Luftwaffe. Byłem na przodzie kolumny, nasi oprawcy nie wiedzieli, co z nami zrobić, zaczęli więc okrutnie bić. Pamiętam tylko rozwścieczone oczy jakiegoś wachmana z pałą w ręku, zostałem uderzony w czaszkę, upadłem, czułem jeszcze, że jestem rozdeptywany i straciłem przytomność. Jakby przez sen usłyszałem słowa: "wo ist nr 2808", a gdy otworzyłem oczy, zdałem sobie sprawę, że leżę pod ścianą hali, a cały obóz już mija bramę. Do mnie nagle podbiegło dwóch żołnierzy w mundurach Luftwaffe, ucieszonych, że mają ten nr 2808. Okazało się, że jakimś cudem znalazłem się w grupie 30 oddzielonych od obozu, który pognano do Buchenwaldu/jak się później dowiedziałem/. Świadomość, że nie ma nad nami SS-manów i psów postawiła mnie na nogi. Każdy dostał bochenek wojskowego chleba, ćwiartkę margaryny i kompania żołnierzy Luftwaffe, pod dowództwem sierżanta, mówiącego z czeskiego po polsku, odprowadziła nas na południowe przedmieście Zittau. Po godzinnym postoju, wolnym krokiem ruszyliśmy na nową drogę życia.

Maszerowaliśmy 2 dni, z noclegiem w jakimś lesie i pod wieczór drugiego dnia dotarliśmy do miasta Gablonz-Reinowitz. Dobra opieka żołnierzy skończyła się, oddali nas w ręce obsługi złożonej z esesmanów, która pilnowała nowego obozu i hal fabrycznych, gdzie produkowano reflektory obrony przeciwlotniczej. Zamiast baraków obóz urządzony był na poddaszu olbrzymiej hali fabrycznej, apelplatz również był pod dachem. Po przyjęciu na bramie fabrycznej, droga do obozu rozmiękła po opadach, szła pod górę. Na przywitanie dostaliśmy około stu razy "hinlegen i auf". Wymęczeni marszem śmierci, utyłtani w błocie, byliśmy wpędzeni po jakimś pomoście na teren obozu. Z miejsca zdarte z nas ubranie, bieliznę, drewniaki i do waschraumu, bez jedzenia zapędzono nas po dwóch pod jednym kocem na cuchnące wyra. O 3 rano pobudka, przydzielono nam okropnie podarte ubranie, coś niby drewniaki na nogi i do roboty, do hali odległej około 50 m od obozowego poddasza. Przydzielono nas do maszyn tokarskich przestarzałego typu, przy których praca była bardziej wyczerpująca, a wymagania majstrów większe niż w Hartsmandsdorfie. Bo 12-godzinnym dniem pracy, na obozie nie było już sportu, ale nękały nas okropne wszy, z którymi nie mogliśmy sobie poradzić. Po pracy dwie - trzy godziny trzeba było siedzieć nago i szukać robactwa. Po codziennym wybiciu dziesiątek gnid i wszy ubranie i bieliznę kontrolowali kapowie za pomocą bardzo silnych lamp. Wszy

były w stołach, w pryczach, a bieda temu, kogo kapo podał, że nie wybił wszy w ubraniu. Ubranie zabierano takiemu więźniowi do parowania, a jego wprowadzano do pomieszczenia z betonu szerokości 1 m i z góry, z rur, puszczano na przemian lodowato zimną i gorącą wodę, tak że skóra płatami schodziła. Po godzinie takiej kuracji wszy ginęły, ale więzień już nie był w stanie żyć. Dostawał wyparowaną bieliznę, ale zamiast wszy zaczynała się gorączka, opuchlizna i koniec. Jednego więźnia za znalezienie gnid we włosach, kapo utopił w wiadrze wody, trzymając tak długo jego głowę, aż skonał.

Plagą naszą byli w tym obozie kapowie przywiezieni z ewakuacji Oświęcimia. Byli to niemieccy kryminaliści z czarnymi winklami, nimi to wyręczali się SS-mani, bo sami bali się wszy i tyfusu. Nadeszła Wielkanoc 1945 r., fabryka świętowała. Cały obóz popędzili na tory kolejowe do czyszczenia podkładów z brudu i zielska. Tam to na dziesięciu więźniów dano kapo - mordercę z Oświęcimia, który się wyżywał bijąc, kopiąc, a obsługa SS z boku rechotała patrząc, jak to więźniowie sami siebie wykańczają.

Nad grupą, w której pracowałem, młody kapo, z zawodu rzeźnik, był bandytą z czarnym winklem. Mówił po polsku, chwalił się, jak jemu w Oświęcimiu było dobrze, jaki to był czysty obóz, zorganizowany na medal, nie tak jak tu, w Gablonz. Pod jego opieką byłem tylko jeden wielkanocny dzień i to już miałem szyję i plecy tak posiniaczone, że ledwo się przywlekłem do obozu. W kwietniu 1945 na ogólnym apelu ogłoszono, że z więźniów obozów koncentracyjnych chcą utworzyć pomocniczą armię, dają pół godziny do namysłu i odbędzie się komisja kwalifikacyjna. Po naradzie w grupkach koleżeńskich postanowiliśmy wszyscy stawać na tę komisję, bo nie wiadomo było, o co tu chodzi i co to za pomysł. W tym czasie było w obozie około 300 więźniów. Rozebrani podchodziliśmy kolejno przed stół, przy którym zasiedli w białych kitlach niby to lekarze, ale w mundurach SS. Padało pytanie: numer więźnia i w jakiej formacji wojskowej służył, po czym krytycznie popatrzeni na szkielety pokryte skórą i zapowiedzieli, że na urodziny ich wodza /20 kwietnia/ będziemy już na lepszym, bo wojskowym wickie. Na tym wszystko się skończyło. Co było celem tej imprezy, nikt nie wiedział. Po wszach klęską nr 2 obozu Gablonz był ogólny brak soli: wodniste nie solone zupy zdziały, że szkorbutem objęci byli wszyscy więźniowie. Gdzieś w kwietniu jeden z wachmanów ułożył piosenkę zaczynającą się od słów: "Wird sind Arbeiter won lager Reinowitz" składającą się z 4 strofek i wychwalającą najwięcej lagerführera i wszystkich SS-manów. Komendanta obozu nazywał jasnym słoneczkiem, naszym ojcem. Musieliśmy uczyć się tych słów po niemiecku i, uderzając trepami w takt marszu, śpiewać, a tu przez gardło głosu nie można było wydobyć. Dwóch SS-manów nadśluchiwało i kto nie śpiewał, to go na bok i bicie drągami do upadłego. Jeden pokraczny wachman, który może był twórcą tej piosenki, wykrzykiwał po polsku: "Wy bandyty nie chceta śpiewać ty piosenki, to chyba matka w domu ucyła was śpiewać. Pod Twoją Obronę, dali śpiewać do Ty swoi święty matki". Śpiewaliśmy więc i naprawdę był to śpiew płynący z głębi serca i duszy, a on jeszcze bardziej się wciekał, rycząc "To umita, a o swoim dobrym ojcu - komendancie to nie". Nigdy ta piosenka nie wyszła nam na medal pomimo szykan i różnych prób, nikt nie nauczył się słów na pamięć.

Na początku marca na apelu było 500 - 600 więźniów, a w dniu 8 maja wolność odzyskało około 100 więźniów. 1 maja nie miałem siły stać na wieczornym apelu, oberkapo zawlókł mnie na rewir, odgrodzony kocami od reszty obozu i ze słowami "zdychaj tu" zostawił

mnie na rewirze. Rano o 3 apel i słyszę, jak szukają nr 2808. Okazało się, że kapo zawlókł mnie na rewir, ale do raportu nie zgłosił tego ubytku. Dopadł mnie na rewirze oberkapo /przedwojenny bokser/, przyciągnął na apel i lewym prostym rozbił mi szczękę. Zachrobotały moje luźne już wtedy zęby, poczułem smak krwi w ustach i zwałem się pod nogi samego lagerführera. Kapo zaczął mnie jeszcze kopać, ale sumienie lagerführera nie wytrzymało; kopnął w tyłek oberkapo, a mnie rozkazał zanieść na rewir. Rewir - szpital obozowy - było to miejsce, z którego nikt nie wyszedł o swoich siłach; tam już nie dawano nawet tej wodnistej lury, więzień był skazany na długotrwałą mękę konania, zależną od wytrzymałości organizmu. Łóżka piętrowe zestawiono po dwa, więźniów kładziono po czterech. W ciągu pierwszych trzech nocy moi koledzy zmarli; z czwórki zostałem sam jeden. Nie miałem siły policzyć, ale myślę, że było nas na rewirze 30 do 40 chorych.

Nadszedł wreszcie dzień 8 maja 1945 roku. Pobudki nie było słychać, a około godziny 6 krzyki "ewakuacja". Z magazynów wydają lepszą odzież, trepy i szykują obóz do wymarszu. Leżę w przedśmiertnej gorączce i nagle przyszło do mnie dwóch kolegów jeszcze z Pawiaka i żegnają się ze mną. Ja ze łzami błagam ich o przyniesienie jakiegoś okrycia i wyprowadzenie mnie z rewiru, bo wiem, że rewir będzie zlikwidowany. W ogólnym chaosie ewakuacyjnym przynieśli mi pasiaki, myckę i trepy i wyprowadzili mnie do kolumny ewakuacyjnej opuszczającej już teren obozu. Podtrzymywany przez nich, miałem jeszcze tylko tyle siły, żeby nie upaść. Marsz ten trwał 600 - 800 m. na przedmieście Gablonz, gdzie spędzono nad na łączkę między małym strumieniem i główną drogą w góry. Momentalnie usnąłem, a sen ten na tyle mnie pokrzepił, że gdy usłyszałem okrzyk: "Alles antreten", przy pomocy tych samych kolegów stanąłem w szeregu. Nagle od gór słychać chrobot czołgów i z za zakrętu wyłażą 4 czołgi z czarnymi krzyżami. Już zaczęliśmy się żegnać, że to koniec, ale z jednego czołgu wychyliła się ręka z czeską chorągiewką i usłyszeliśmy okrzyk "na zdar". Byli to nasi wyzwoliciele, czescy partyzanci. Po przemowie lagerführera i cywila z opaską C.K. czołgi naszą eskortę SS-manów z psami pognali do miasta, a nasz cały obóz w mgnieniu oka się rozbiegł, pozostało dwóch, ja i kolega, którzy nie mieliśmy siły do ucieczki. Następnego dnia partyzanci czescy przewieźli mnie i kolegę do m. Żelazny Bród, a komisja lekarska przydzieliła nas do szpitala w Semile, gdzie zostaliśmy poddani intensywnemu leczeniu. 7 lipca 1945 r. przez Hradec-Kralove, Bohumin, pod serdeczną opieką lekarską, zostaliśmy odwiezieni do Polski.

Tyle utrwaliło się w mojej pamięci. Jak mogłem przeżyć to piekło? Tylko dzięki temu, że pomimo tych katuszy miałem siły do codziennej modlitwy i, prosząc Matkę Boską o przetrwanie, zostałem wysłuchany i tylko dzięki tym modlitwom doczekałem wolności. Przeżycia te spisałem dnia 21 marca 1985 roku.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.1.3.10.



8 maja 1945 roku. Po marszu ewakuacyjnym więźniowie zostali
oswobodzeni w Tanwaldzie. Pierwszy ratunek oswobodzonemu
więźniowi podaje życzliwa ręka

Nr archiwum Gross-Rosen 3.1.1.2.